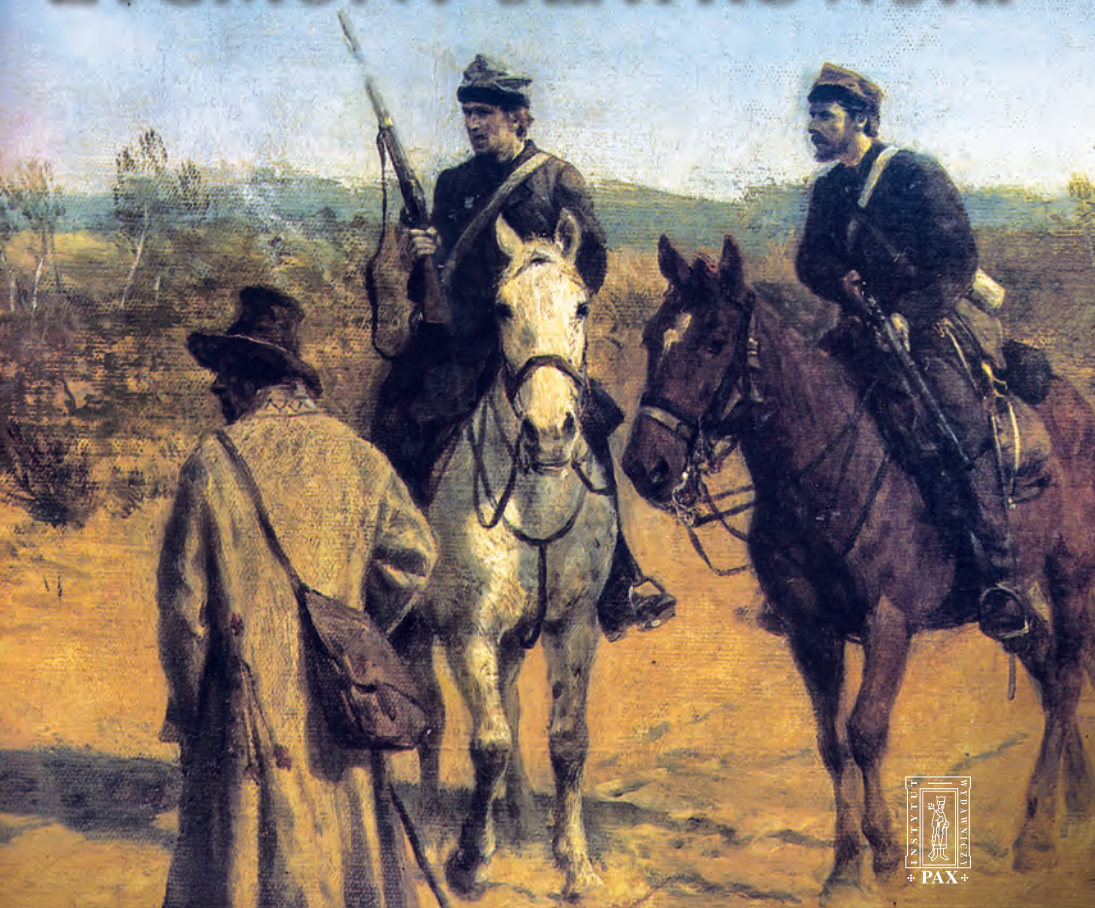


ZOFIA  
◆ KOSSAK ◆  
ZYGMUNT SZATKOWSKI



DZIEDZICTWO

# DZIEDZICTWO



+ PAX +

IWPAX

*IW PAX*

ZOFIA  
KOSSAK  
ZYGMUNT SZATKOWSKI

# DZIEDZICTWO

CZĘŚĆ III



INSTYTUT WYDAWNICZY PAX  
WARSZAWA

© Copyright by Anna Bugnon-Rosset  
Anna Magdalena Fenby Taylor  
Wojciech Patrick Szatkowski  
Ewa Maria McSperrin  
Marek Stanisław Szatkowski

© Copyright for the Polish edition  
by Instytut Wydawniczy Pax  
Warszawa 2014

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.  
Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)  
Polska Izba Książki

Projekt okładki  
*Studio Karandasz*

Redakcja techniczna  
*Adam Wieczorek*

Korekta  
*Zespół*

ISBN 978-83-211-2059-1 (PDF)

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 2022  
00-519 Warszawa, ul. Wspólna 25  
e-mail: [iwpax@civitaschristiana.pl](mailto:iwpax@civitaschristiana.pl)  
księgarnia internetowa: [www.iwpax.pl](http://www.iwpax.pl)

Wydanie III. Ark. druk. 50,0/16.  
Fotoskład: DARTEXT, Warszawa  
Druk i oprawa: Drukarnia im. A. Półtawskiego  
25-701 Kielce, ul. Krakowska 62

# Część III

IWPAX

*IW PAX*

## Rozdział I

# Eureka Stockade

Słońce zaledwie wstało, więc pod palisadą „campu”, zbitą z wysokich zaostzonych bierwion, pozostawał jeszcze ślad nocnego chłodu. Na kłodach leżących pod częstokołem przysiadła eskorta mającego niebawem wyruszyć konwoju. Pośrodku warownie ogrodzonego dziedzińca stał długi niski budynek, mieszczący biura komisariatu i wagę. Tłoczyli się przy nim górnicy, przynoszący tutaj swój miesięczny urobek złota, by go dołączyć do rządowego transportu. Komisarz naczelny i komisarz sprawdzający ważyli przyniesione „nogs” (bryłki kruszcu) dokładnie, bez pośpiechu wypisywali odpowiednie kwity, wręczali je właścicielom. Dowódca konwoju, por. Władysław Kossak (brat Juliusza i Leona, lecz od obu młodszy) niecierpliwił się. Najwyższy czas ruszać, nim upał się wzmoże.

Dowódca, policjanci, jak również zebrani przy wadze cywile, odziani byli podobnie: skórzane spodnie, podkute buty, płócienna koszula, na głowie szerokoskrzydły słomiany kapelusz. Przedstawiciele władzy wyróżniało tylko uzbrojenie: karabin, rewolwer i szabla. Szarżę poznawano po naszywkach.

– Masz nowego konia, Kossak?! – zawołał młody podkomisarz O'Donnell, patrząc z podziwem na rasową klacz trzymaną przez ordynansa.

Porucznik uśmiechnął się z dumą.

– Nie widziałeś jej jeszcze? Cudo, nieprawdaż?! Mirabella, od Parisiany, tej co dwa razy wzięła pierwszą nagrodę na wyścigach w Melbourne.



– Piękna – przyznał Irlandczyk, przyglądając się córce Parisiany okiem znawcy. – Słono musiałeś za nią zapłacić?

– Dwieście funtów – wyznał poufnie właściciel. – Taniej nie chcieli słuchać.

– Bój się Boga! Za tę cenę można kupić dwa doskonale wierzchowce.

– Ale nie takie. Zobaczysz, jakie ma chody, jak skacze!

– Wiele wzięłeś za swojego wałacha?

– Ajaksa? Nie sprzedałem go wcale. Mirabella jest delikatna, muszę ją oszczędzać. Ajaks to żelazny koń. Zresztą, lubię go.

– Szalony Polaku! Dwa konie przy obecnej cenie owsa?! Zrujnujesz się!

– To już nastąpiło – westchnął porucznik. – Wlazłem w długi po uszy.

– Trzeba ci było pojechać z O'Hara Burkę. Na pewno odkryje za górami nowe żyły złota...

– Wyobraź sobie, że miałem mu towarzyszyć. O'Hara, mój dawny przyjaciel, bardzo mnie namawiał. W ostatniej chwili rozmyśliłem się.

– Nigdy bym się tego nie spodziewał! Wy, Polacy, kochacie przecież awanturnicze przygody.

– Nie mniej niż Irlandczycy – roześmiał się Kossak. – Pewnie, żebym wolał odkrywać z O'Hara nowe okolice, niż uganiać za „bushrangerami” i pilnować złota. Cóż zrobić? Nie składało mi się. Na pociechę mam Mirabellę. Come on, my lady! – zawołał. Klacz w odpowiedzi zarżała leciutko, czule.

– Czy to prawda, że ekspedycja wzięła wielbłądy? – pytał ciekawie O'Donnell.

– Wielbłądy, konie, ogromny tabor. Royal Society bogato wyposażyło wyprawę. Pilnowałem wtedy okręgu Swan Hill. Oni przejeżdżali tamtędy, zęgnalem ich. O'Hara był dobrej myśli. – Dokończymy dzieła Strzeleckiego – zapewniał. Spodziewał się, że za rok powróci. A już dwa lata minęły bez wiadomości od niego.

– Niedobry znak – zauważył podkomisarz i pożegnawszy się, odszedł. Jak gdyby czekając na tę chwilę, przysunął się do Kossaka stary górnik z wiechą konopiastych wąsów i wybitym okiem.

– Niech będzie pochwalony – rzekł nieśmiało.

– Na wieki wieków – odparł odruchowo oficer. Dziwnie zabrzmiało polskie pozdrowienie wśród powszechnej angielszczyzny. Angielski język stawał się jedyną mową wspólną dla wielonarodowościowej rzeszy przybyłej do Australii z całego świata.

– Nie poznaje mnie pan porucznik – ciągnął stary. – Przecie my przyjechali razem.

– Czekajcie... Zaraz sobie przypomnę. Już wiem! Wyście Pałuba! Zmylił mnie brak oka. Bo mieliście oczy zdrowe?

– Kamień, ścierwo, bryznał, będzie już temu z pięć років.

– Tośmy się nie widzieli od Eureka Stockade?

– Ano. Latoś dziewięć років minęło.

– Nie prześladowali was po tamtym powstaniu?

– Chwalić Boga, nie. Na dobre wyszło. Licencje obniżyli prawie o połowę. Przedstawicielstwo górnicze mamy w parlamencie. Peter Lalor, pamięta pan porucznik, jest pierwszym naszym posłem z Ballarat. Nawet nasz sztandar niebieski z gwiazdami doczepili do swojego. A że ludzi nie dręczyli, to panu porucznikowi zawdzięczamy. Każdy z nas o tym pamięta.

– Co też gadacie, Pałuba! W czym ja mogłem pomóc? Kapitan Thomas, on...

– My wiemy swoje – upierał się stary. – Zresztą w gazetach stało, „West Australian” pisał o poruczniku Kossaku, że za górnikami obstawał. Ludzie przeczytali, zaczęli się ciekawić sprawą, krzyzczyć, że krzywda górnikom się dzieje. Beskurcyje Angliki posłaliby nas do kolonii karnych, żeby nie to w gazetach pisanie.

– Sami więc widzicie, że nie moja zasługa, a gazet.

– He, he – roześmiał się górnik nabijając fajkę. Wywołane jego słowami, obległy Kossaka wspomnienia. Istotnie dziesięć lat zleciało od chwili, gdy on i przyjaciel jego, Poldzio Kabat, rozbitkowie z polskiego legionu generała Wysockiego, po internowaniu w Turcji przedostali się na Malte, stamtąd do Anglii. Anglia pozwoliła im szukać pracy na wyspie brytyjskiej. Jużci pracy najcięższej, najniżej płatnej, ale i o tę było diablo trudno. Anglicy nie lubią cudzoziemców. Polacy-wygnańcy drażnili ich wszystkim, ruchami, wzięciem, nawet wąsami. – Jeśli zgotysz te obrzydliwe (awful) wąsy, może cię gdzie przyjmą – doradzili życzliwsi. Niemiło było młodym oficerom zabiegać jak o łaskę o lada jaką robotę lub żebrać zasiłku u Czartoryskiego. Właśnie w onym czasie gruchnęło, że Polak Edmund Strzelecki odkrył w Australii złoto; ludzie poczęli tam ciągnąć. Anglia dawała darmo przejazd, rada, że się obcych pozbywa, a oddaloną kolonię zaludnia. Kossak i Kabat, nie namyślając się dłużej, popłynęli wraz z innymi. Trafili na dobry czas: poszukiwano wojskowych. Prowincje australijskie: Victorię, Nową Płd. Walię zalała fala poszukiwaczy złota, wśród których nie brakło hultajów i awanturników. By utrzymać w kraju porządek, należało zwiększyć liczbę wojska, a przede wszystkim policji konnej. Do tej ostatniej wybierano najlepszy element. Kossak i Kabat, mający chlubne świadectwa odbytej kampanii węgierskiej i niezłą znajomość angielskiego, zostali zaangażowani, otrzymali awans na poruczników i dowództwo poszczególnych oddziałów. Kossaka wysłano do okręgu złotodajnego Bendigo. Był wrzesień 1853 roku. W listopadzie 1854 w tymże okręgu, w Ballarat, wybuchło powstanie górników.

Do powstania doprowadził niegodziwy wyzysk urzędów angielskich. Za prawo kopania na niewielkim skrawku ziemi kopacz płacił miesięcznie wysoką licencję. Ściągano ją bezlitośnie, niezależnie od tego, czy górnik cokolwiek w tym czasie ukopał, czy był chory lub kopanie uniemożliwiała deszczowa pora. Za opóźnienie doliczano kary. Człowiek miał złoto pod nogami, a głodował.

Na czele buntu stanęło trzech ludzi: Irlandczyk Peter Lalor, Niemiec Vern i Włoch Carboni. Dołączyli do nich wszyscy górnicy okręgu. Zajęli leżący pod Ballarat obwarowany obóz zwany Eureka Stockade i ogłosili się Republiką Wiktoriańską. Nad buntowniczym obozem powiewał sztandar błękitny z Krzyżem Południa. Powstańcy zgromadzili zapasy broni. Byli gotowi na wszystko. Precz z Anglią!

Gubernator Sir Charles Hotham przeraził się nie na żarty. Zdawał sobie sprawę, że tu grunt jest grząski. Napływowa zbieranina góruje nad niewielkim elementem osiadłym. Za wszelką cenę trzeba zdusić kiełkującą rewolucję. Rewolucja – słowo znienawidzone przez rząd Jej Królewskiej Mości. Rewolucja – zmora panujących. Gubernator ściąga wojsko, osobiście kieruje wyprawą.

Lecz na miejscu, w Ballarat, dowódca szczupłej załogi, stary żołnierz, kpt. Thomas, ma inny plan. Nie czekając na przyście gubernatora, zamierza uderzyć na obóz, zdobyć go przez zaskoczenie.

Wielu powstańców ruszyło podobno do innych kopalni, by ściągnąć stamtąd posiłki, wielu rozeszło się na weekend do żon. Wiedząc, że gubernator nie zdoła tu stanąć wcześniej niż za kilka dni, nie strzegą się dostatecznie. Zatem do dzieła! Thomas posiada około półtorej setki piechoty i sto jazdy. W tej liczbie siedemdziesięciu konnych policjantów. Połowa ich to oddział Kossaka. Uderzenie nastąpi nazajutrz o świcie.

W porucznika jakby piorun trzasł. Szczęśliwy Kabat jest daleko stąd, nie przeżywa tej udręki. Co począć? Bo inna rzecz ścigać zbójów, udaremniać ich zamachy na spokojnych ludzi, inna walczyć z powstańcami. Kossak sam był powstańcem. Rządy austriacki i rosyjski też nazywały legion polski bandą rewolucjonistów. Oni walczyli o wolność, ci walczą o to, co równie niezbędne: o chleb, o prawo do życia ludzkiego. Iść przeciw nim? Za nic! Z drugiej strony rozkaz, niedawna przysięga... Co począć? W łeb sobie strzelić? Kossakowska żywotność odpycha myśl samobójczą.

Co począć?! Kpt. Thomas uczciwy człowiek. Niejedno musiał przeżyć, zanim w Australii wylądował.

Mimo spóźnionej pory porucznik idzie do niego.

– Sir... W Eureka Stockade są też moi rodacy. Żołnierze, którzy służyli w moim plutonie...

– Szkoda – cedzi Anglik – że się dali pociągnąć do buntu.

– Ich pociągnęła koleżeńska solidarność, a wszystkich przymusił głód. Warunki górników są...

– Wiem – przerywa Thomas. – Przekłete „redtapes” wyciskają z człowieka ostatniego denara. Ale czego właściwie chcesz, Kossak? Wypowiadasz służbę? Przed bitwą?

– Nie, sir. Służby nie rzucam. Znam obowiązek żołnierza. Ja tylko ośmielam się prosić. Jak o łaskę... Kiedy zdobędziemy obóz, żeby nie stosować represji. Nie karać.

Thomas patrzy uważnie na dygocącego z przejścia Polaka.

– Nie jestem katem – powiada. – Gdyby to zależało ode mnie, rozpedziłbym ich do stu diabłów. Ale gubernator będzie bez litości. Dla przykładu, dla odstraszenia innych.

– Wiem o tym, sir.

– Dlatego – kończy Thomas – chcę uderzyć, nim gubernator nadciągnie. Mało nas, ale może podolamy. Postarajcie się.

Przed świtem natarcie. Kossakowi przypadł manewr oskrzydający na tyły. Nie zważając na ogień powstańców, szczupły oddziałek piechoty rąbie z furją palisadę, obala przesło, kawaleria wdziera się w obręb obozu. Wściekła szarża, niepowstrzymany polski pęd, gdy furia jeźdźców udziela się koniom. Jest ich zaledwie trzydziestu, lecz atakują, jakby za nimi szła ogromna siła.

Górnicy pierzchają. Panika w obozie. Policja konna zdobywa błękitny sztandar. Peter Lalor i Raffaello Carboni w niewoli. Trudno uwierzyć, lecz w niecałe pół godziny bitwa jest skończona, powstanie stłumione. Legło dwudzie-

stu kilku powstańców i sześciu żołnierzy. Rozgorączkowany Kossak szuka dowódcy, by go spytać, czy pamięta. Kpt. Thomas skinieniem głowy odpowiada, że tak.

Te obrazy wywołane spotkaniem z Pałubą mignęły w głowie porucznika z szybkością, do jakiej tylko myśl jest zdolna.

– Wysłali mnie za to później do Swan Hill – rzekł głośno. – Zatracony posterunek.

Pałuba przytaknął głową.

– My na to pustkowie mówimy Syberia.

– Dwa lata mnie tam trzymali. Muchy, komary, na rzece Murray pelikany. Do Melbourne sześćset mil.

– Gadali u nas, że pan porucznik pojechał z onym Burkiem na północ. Tośmy się martwili, że po śmierć pojechał. Pono tam Pustynia Śmierci. Jezero Śmierci.

– E, zaraz tam po śmierć! Pojadą, zobaczą i wrócą. Ochotę na wyprawę miałem, wstrzymało mnie co innego. Kto tylko z Europy przyjedzie, powiada, że w Polsce wielkie zamieszanie, pewnikiem przyjdzie do boju z Moskałem.

– Jezus Maria! Znów powstanie! Żeby się chociaż udało!

– Chyba tym razem nie damy się pobić. Czekam na wiadomość stamtąd od brata. Dlatego odmówił Burkowi. A nuż by list przyszedł, kiedy mnie nie będzie.

– Pan porucznik chce jechać na to powstanie?

– Cóż myślicie, Pałuba? Siedziałbym tutaj, jak w Polsce się biją?

Zagrała trąbka, znak, że ukończono ładunek. Kossak sprężyście przeszedł dziedziniec, spojrzął bacznie na czwórkę założoną do dwukółki, stojąc na baczność przed komisarzem przyjął wykazy i dokumenty transportu. Od tej chwili on ponosi odpowiedzialność za powierzony mu skarb. Obowiązany był nie spuszczać ładunku z oczu, na postojach sypiać w tej samej izbie, gdzie złożono złoto. Mimo pośpiechu czekało go sześć lub siedem dni takiej męczącej podróży.

Woźnica i czterech żołnierzy, ci ostatni z naładowanymi karabinami w ręku, siedzieli już na powózce. Policja dosiadała koni. Porucznik skoczył na siodło. Poglaskał tkliwie szyję faworytki i krzyknął gromko: „Go on!” Komisarz naczelny i komisarz sprawdzający powiewali z biura dłońmi w geście pożegnalmym. Dozorcy otwarli na oścież nabijane ćwiekami wrota. W otworze mignęła gromada krajowców zwanych pospolicie „black fellows”, czekających za bramą na widowisko, jakie stanowił dla nich każdorazowy wyjazd konwoju. Gdy wrota stuknęły, rozpierzchli się niby ptactwo na boki. Poczёт ruszył z miejsca cwałem. Konni galopowali przed dwukółką, po bokach i za nią. Porucznik na swej lotnej klaczy zajeżdżał z tej, to z tamtej strony. Sierżant Chmara przy nim. Droga szła lasem, łągodzącym nieco upał. Hej, żeby to był las polski, cienisty, szumiący! Ten australijski czy to las? Liście duże, ale tak osadzone na szypułkach, że cienia mało dają. Dziwaczne drzewa, nie wiadomo, jak się naprawdę zowią. Inaczej na nie mówią krajowcy, inaczej je nazywał uczony profesor Darwin, co tu był kilka miesięcy. Koloniści po dawnemu określają je zwyczajnie: water tree, box tree, iron tree. Są też drzewa kamforowe, gumowce i drzewa pieprzowe wielkości osiki. Z czego ma być cień?

Cwałując porucznik patrzył bystro w las, czy nie dojrzy „bushrangerów”, czyli rozbójników. Tego nasienia nie brakło przy szlakach wiodących z kopalń. Zbiegowie z karnych kolonii, górnicy, którym się nie poszczęściło, leniwcы usiłujący zdobyć złoto bez pracy – łączyli się w bandy i napadali transporty. Na razie jednak nie było widać nic podejrzanego. Upał obezwładniał wszystko. Nie skrzeczał nawet ptak ruka-bura, szanowany zarówno przez czarnych i białych, gdyż żywi się jakoby wyłącznie węzami.

– Tylko te koty zatracone wiszą – mruczał nie lubiący Australii Chmara. Kotami nazywał oposy uczeplone gałęzi ogonem, łebkiem zwieszane ku ziemi. Drażniły go też barwiste papugi, przelatujące ponad drogą.

– Farbowane, ino się w oczach migają, ale gdzie im do naszej kraski – prawil. – Kraska ładniejsza. Wszystko w tym kraju na opak. Zima w lipcu. Największe gorąco w grudniu. Jeśli Pan Jezus da wrócić, ludzie nam nie uwierzą. Koguty pieją bez czasu, kiedy im się zachce. Rzeka w jednym miesiącu z dziesięć wiorst pola zaleje, a w drugim miesiącu już wodę straciła, już tej rzeczki wcale nie ma. W studniach woda słona. O, o, panie poruczniku, plugawiec lezie.

Plugawcem Chmara zwał wielką, kilka stóp długą, jaszczurkę, powolną w ruchach jak ślimak. Sunęła w poprzek drogi obojętna na zbliżający się tętent. Mirabella przesadziła ją chrapiąc ze wstrętem, podjezdek Chmary przestąpił leniwe cielsko. Konwój przeleciał, Kossak obejrzał się: jaszczur niewzruszenie pełzył dalej.

Z położonej opodal wioski krajowcy przybiegli ku drodze, by popatrzeć na białych półbogów. Mężczyźni, dzieci, dziewczęta i kobiety, oszpecone brakiem zębów, znakiem zamażpójścia.

– Widziałem kiedyś, jak to robią – prawil niestrudzony Chmara. – „Lugra”, po ichniemu żona, wyszczerza zęby, młody podchodzi z klinem twardego drzewa i młotem. Klin przykłada do górnych zębów, młotem wali. Myślałem, że ją zabije. Po co to robią, nie wiem. Boją się, żeby ich żony nie gryzły? Czego się gagicie, black fellows!? – ryknął nagle ku czarnej gromadzie, zwracając w ich stronę konia. Dzicy uciekli w popłochu.

– Trza ich czasem postraszyć, panie poruczniku, żeby nie nabrały śmiałości – tłumaczył sierżant. – Niby niuńki, a jak taki włócznia miotnie, starego kangura o sto jardów na wylot przebije. Widział kiedy pan porucznik, jak one dzidę rzucają? Prawą nogę podniesie, w kolanie zegnije, stopę oprze na lewym kolanie, jak bocian stoi, koniec włóczni o prawe udo opiera i po udzie suwa tam i nazad, tam i nazad, dopieroż puszcza. Włócznia leci, jakby ją, tfu, diabeł niósł, i nigdy nie chybia. Albo te bumerangi! Czartowska, pogańska sztuka? Same do ręki wracają. Chrześcijaninowi, choć rzuci – nie wróca...



Las się skończył. Na otwartej przestrzeni żar tłumiał oddech, tłoczył ku ziemi. Musieli zwolnić. Na szczęście niedaleko widniał już następny postój, fortalicja identyczna z „campem” opuszczonym z rana. Tu odpoczną kilka godzin i ruszą, gdy słońce się zniży.

Pierwszy kwartał 1863 roku zaznaczyły dwa niecodzienne zdarzenia: Uroczysty pogrzeb O’Hara Burke i jego zastępcy Willisa, zmarłych z pragnienia i głodu, oraz przybycie do Melbourne parowca „Great Britain”.

W dniu pogrzebu Władysław Kossak na czele swojego oddziału kroczył stępą za konduktem. Z nieba leciał żywy żar. Młody oficer pocił się niemiłosiernie w opiętym granatowym mundurze, czarnym sztywnym kaszkieciку i przeklinał głupotę urzędników brytyjskich ustalających dla policji australijskiej mundury przyjęte w chłodnej i wilgotnej Anglii. Myślał też o zmarłym przyjacielu Irlandczyku, eks-huzarze spod znaku generała Bema, o tym, że śmierć jego nie była klęską, lecz drogą okupionym zwycięstwem, gdyż O’Hara Burke dokonał tego, co zamierzał. Przeszedł pustynię centralną, pierwszy z białych doszedł do północnego wybrzeża, a zginął dopiero w drodze powrotnej. Polskiemu porucznikowi zdało się to rzeczą ważną. Osiągnąć cel, a potem niechta i śmierć, skoro tak Pan Bóg zasądził.

Przybyły statek „Great Britain” był największym parowcem, jaki kiedykolwiek zbudowano. Poruszała go śruba Archimeda, której działanie wzmacniały cztery maszty bogato ożaglowane. Ładowność statku wynosiła 3 tysiące beczek, a szybkość giganta wprowadzała w zadziwienie. Drogę z Anglii do Australii „Great Britain” odbył w dwa miesiące! Prócz towarów przywiózł licznych pasażerów, wśród których była gromada Polaków. Posłyszawszy o tym, Kossak zbiegł do portu w nadziei, że posłyszysz najnowsze wiadomości z kraju. Niestety, żaden z przybyłych nie jechał wprost z Polski. Wszyscy odbyli dłuższe postoje w Anglii lub Belgii,

a używszy doli wygnańczej, zapragnęli szukać szczęścia w australijskich kopalniach złota. Polityką nie zajmowali się wcale i nie umieli nic na ten temat powiedzieć.

Oni natomiast zasypywali rodaka pytaniami o miejscowe warunki, a przede wszystkim o złoto. Gdzie są kopalnie? Czy daleko? Ile czasu zajmują wstępne formalności? Gdzie leży to miejsce, w którym znaleziono w jednym dniu więcej niż trzy pudy złota?

Porucznik uśmiechał się pod wąsem, gdyż to ostatnie pytanie zadawał nieuchronnie każdy przybysz. Chodziło o fakt, jaki się zdarzył przed dziesięciu czy jedenastu laty: czterech nowych emigrantów, Polaków, poczęło kopać na działce i pierwszego dnia, z pierwszego wykopanego w życiu dołu, wydobyli bryłę złota wagi 137 funtów. Nieprzytomni z radości włożyli skarb do worka, zdążyli jeszcze na ten sam statek, którym przybyli, i odpłynęli z powrotem do Europy jako milionerzy. Ta przygoda rzeczywista, autentyczna, obleciała w mig wszystkie porty europejskie i środowiska emigracyjne, budząc najpiękniejsze nadzieje.

Odtąd każdy kandydat na poszukiwacza złota wierzył, że szczęście uśmiechnie się doń podobnie. Wierzono tak mocno, że wielu Europejczyków przywoziło ze sobą duże skrzynie wybite wewnątrz blachą, a przeznaczone na zabezpieczenie ukopanego złota. Czterej legendarni szczęśliwcy posiadali tylko worek, nietrwale schowanie. O ileż lepiej mieć skrzynię!

Rzeczywistość szybko rozwiewała złudzenia. Czardziejski fakt nie powtórzył się więcej. Widocznie zazdrosny złośliwy bóg krajowców, Yehu, rzucił ze swego skarbcza porcję złota białym ludziom na przynętę, lecz nie zamierzał tego gestu powtarzać. Okruchy złote znajdowano, owszem, lecz ileż czasu, ile trudu kosztowało wydobycie kilkunastu uncji kruszcu! Przywiezione skrzynie zakrawały na szyderstwo. Przed paru laty Kossak odkupił zamczysty kufer od Portugalczyka Issidore, zawiedzionego kopacza, i trzymał w nim owies. Chwalił sobie ten nabytek, bo chronił cenne ziarno przed szkodnikami.

Pasażerowie „Great Britain”, podobnie jak wszyscy inni podróżni przybywający tu z Europy, przyjmowali informacje uprzejmego oficera policji z wyraźnym niedowierzaniem. Uważali za normalne, że miejscowi niechętnie udzielają wiadomości o dobrych złotodajnych terenach, wołąc je zachować dla siebie.

Natomiast szczerze zgnębieni słuchali wiadomości o miejscowych cenach. Nędzna izdebka w mieście dwa funty szterlingi, czyli cztery dukaty, tygodniowo! Tyle, co we Francji lub Niemczech biorą za pół roku! Tuzin jaj kosztuje w Londynie pięć pensów, a tu za jedno jajko żądają szylinga! Wszystko podobno w tym samym stosunku, dosłownie „na wagę złota”.

Z natury życzliwy ludziom Władysław Kossak doradzał strapionym, by zapoznali się raczej z polskimi farmerami. Pod Seven Hill leży osada zwana Polish Hill River. Mieszkańcy jej pochodzą z powiatów Babimost, Zbąszyń, Międzychód. Przybyli do Australii, uchodząc przed pruskim uciskiem. Gospodarują tu od lat i dobrze im się powodzi. Szczególnie opłacalna jest hodowla owiec. Kilka owiec, przywiezionych z Przylądka Dobrej Nadziei niecałe sto lat temu, rozpleniło się w ogromne stada o wspaniałej wełnie. Służy im australijska sucha słona trawa. Naprawdę dobrze być farmerem. Bardzo mądry człowiek, mjr Korzeliński, twierdził, że lepsze to, niż mieszkać w Paryżu albo Londynie.

Informowani słuchali z roztargnieniem. Po co tyle gada? Nie przyjechali tutaj, żeby harować na roli albo pasać owce! Jedyna rzecz przykra to wymienione ceny. Odchodzili do miasta, obliczając w myśli szczupłą posiadaną gotówkę.

Port opustoszał. Ogromny statek ze zwiniętymi żaglami kołysał się lekko na kotwicy, jakby drzemał. Porucznik zamierzał odejść również, gdy u wejścia do zatoki pojawił się niewielki znajomy żaglowiec. Zelektryzowany oficer wytężył wzrok. Stateczek typu „bark” zbliżał się szybko. Tak, nie było wątpliwości. To „Betty Pearl” płk. Rakowskiego.

Już przybili do ocembrowania, już przycumowali. Załogę stanowiło trzech marynarzy i wysoki szczupły pan o brodzie i czuprynie białych jak śnieg, płk Seweryn Rakowski, właściciel barku, agent handlowy towarzystwa okrętowego, kursujący między Australią a Hamburgiem i Londynem; prywatnie mąż zaufania Hotelu Lambert.

– Jak się masz, Kossak! – zawołał wyskakując na brzeg. – Dobrze, że cię widzę. Ważne wiadomości z kraju. Wybuch powstania to rzecz przesądzona!

– Walczą już?! – krzyknął porucznik.

– Nie wiem. Kiedy wyjeżdżałem z Londynu, wyglądało, że zacznie się rychło. Tym razem będzie rozprawa nie lada. Mamy doskonałe widoki, sympatię całej Europy. Najprzychylniejsze stanowisko Francji, wiążące wypowiedzi cesarza Napoleona!

– Trzeba jechać – zdecydował młody. – Składam zaraz podanie o roczny urlop.

– Dadzą ci awans, ale nie dostaniesz rocznego urlopu. Ciągłe policji za mało.

– To zgłoszę dymisję! Zrzeknę się emerytury, odprawy, gratyfikacji, niech mi dadzą roczną gażę, żebym długi spłacił, i adieu! Konie oddam w opiekę Poldziowi.

– Kabat, myślisz, nie pojedzie?

– Chyba nie, bo mu żona choruje po dziecku. Nie mógłby jej zostawić. Za to Pilichowski, Górski, na pewno pojedą.

– Turzański, Lisowski, Brzeziński i reszta też – dokończył żeglarz. – Zbierze się was niezgorsza gromadka. Mój Boże! Polska powstaje! – westchnął z zazdrością płk Seweryn Rakowski, bo rad by z młodymi jechał, a trzymały go tu obowiązki i liczna rodzina.

## Rozdział II

# Strapienia szambelanowej

Kazimiera Komierowska, née Łuszczewska, starsza siostra Deotymy, siedziała przy biurku nieobecnej matki z piórem w ręku, zamyślona. Obszerny apartament był pusty: pani Nina z córką Jadwigą wyjechały nieoczekiwanie do Italii, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Liczne obowiązki nie pozwalały szambelanowi towarzyszyć żonie i córce. Miał dołączyć do nich w początku lutego.

Tymczasem Kazia (– Ta poczciwa Kazia – jak mawiała matka), stosownie do zleceń pani Niny, odwiedzała parę razy w tygodniu mieszkanie, by skontrolować służbę, przeadresować listy i odpowiedzieć uprzejmie na bilety wizytowe, składane przez znajomych na mosiężnej tacy w antyszambrze. – Nie mogę tego zlecić ojcu – mówiła pani Nina na odjeźdźnym – bo wiem, że zaniedba. Jest zapracowany, przy tym nie docenia wagi tych szczegółów.

Tego dnia, 2 stycznia, Kazimiera przyniosła ze sobą kilka cienkich, gustownych tomików wierszy, zatytułowanych „Poezje Jolanty”, i z rozkosznym uczuciem dumy wypisywała na nich dedykacje. Zamiast imienia i nazwiska, skromnie: Autorka.

Ona była Jolantą, to były jej wiersze, wydane w Poznaniu. Zdaniem Kazimiery, nie ustępowały bynajmniej poziom sławnej siostry.

Dlaczego zatem konspirowała swą twórczość, dlaczego w domu nikt nigdy nie wspomniał o talencie Kazi? Tak było

od kilkunastu lat, bo tak chciała pani Nina. Trzeźwo patrząc na życie, szambelanowa uznała, że nadmiar zabija efekt. Dwie poetki w rodzinie i jeszcze ojciec do tego! (Bo szambelan też pisywał udatne, rzewne wierszyki. To po nim córki odziedziczyły poetycką wenę). Pani Nina uważała, że to byłoby za wiele. Na jednej osobie winien się skupić podziw całego świata. Jadwiga jest predestynowana do tej roli. Ona będzie wieszczką. Tak się też stało. Wprawdzie rzeczywisty talent Deotymy jałowiał rozdrabniany na banalne improwizacje, lecz matka tego nie widziała. Ambicja jej była w pełni usatysfakcjonowana.

Teraz Kazimiera z dziecinną radością rozkładała swoje tomiki na gerydonie, ustawiała je obok pięknie oprawionych dzieł siostry. Przymrużając oczy, patrzyła z boku na efekt i uznała, że „Poezje Jolanty” dobrze się prezentują. Przy tym zajęciu zastał ją ojciec, który tego dnia wcześniej wrócił z biura. Ucałował „swojego Kopciuszka”, przyjął ze wzruszeniem zadedykowany mu tomik i zapewnił, że jej wiersze szalenie mu się podobają. W pogodnym nastroju zjedli razem obiad. Na dworze dęło, świszczało, na przemian padał śnieg, to krupy gradowe. Szambelan oświadczył, że dzisiaj nie wyjdzie z domu, bo jest i tak przeziębiony. Duży salon o zapuszczonych storach i meblach spowitych w pokrowce nie nęcił. Kawę pili w buduarce pani Niny, gdzie było wygodnie i ciepło. Kazimiera skorzystała z dobrego nastroju ojca, by zadać dręczące ją pytanie, co spowodowało nagły wyjazd do Italii. Nikt się tego wyjazdu nie spodziewał, krążą rozmaite domysły...

– Parę dni przed podróżą mama mówiła mi, że oczekuje inwytacji dla niej i Jadwisi na zamkową fetę z okazji ruskiego Nowego Roku. Mama łudziła się ciągle, że taka inwytacja nastąpi, ale w gruncie rzeczy przestała w to wierzyć. Dlaczego nagle wyjechały? Hm... Poniedziałki zaczęły zawodzić...

– Naprawdę?!

– No tak... Poniedziałki zawdzięczały sukces improwizacjom Jadwisi i dowcipnej, lekkiej konwersacji. Konwersa-

cja wymaga dobrego causeura. Wacek Szymanowski był do tego jedyny. Mama nieraz żałowała tamtej awantury, wiesz, ze zrzuceniem ze schodów. Ja byłem temu przeciwny. Wypadło ordynarnie. I po co wtajemniczać służbę? Mówiłem... Mama była hors d'elle même, nie słuchała wcale.

(Jak gdyby kiedykolwiek słuchała cię, biedny papo! – pomyślała Kazimiera).

Tak więc Szymanowski odpadł. Alf Wrześniowski nie był równie dowcipny jak Wacek, ale wnosił dużo życia i wesołości. Niestety skompromitował się rozpoznaniem jakiegoś więźnia w Cytadeli, który odmawiał podania nazwiska. Głupi chłopak! Od takich rzeczy jest policja. Po co się w to wdawał? Teraz ultrapatrioci nie podają Alfowi ręki. Sam musiałem uprzedzić chłopca, żeby do nas nie przychodził, bo mogłoby dojść do skandalu. Skandal, Kazinko, to okropna rzecz! Ożywia życie towarzyskie, ale tylko jeżeli zdarzy się gdzie indziej, nie u ciebie w domu. No, a najgorsze, że Jadwisia nie chciała improwizować ani deklamować. Uparła się jak kozioł. Nie poznawałem jej. Chimeryzowała, wymyślała się z domu... Mówiła, że chodzi na szycie do Pruszkowej, ale szyc mogła i tutaj. Mama drżała, że ona tam spotyka Czerwonych. – Ces coquins de Rouges – jak zawsze powiada. Żeby mamę pocieszyć i uratować poniedziałki, proponowałem zapraszanie uczonych. Profesorowie Szkoły Głównej toż to luminarze, znakomitości! Nie lada okrasa zebrania. Trzeba iść z postępem, zbliżyć się do wiedzy...

Mama na próbę zaprosiła profesora Kowalewskiego z żoną. Kowalewski, wiesz, to ten sławny podróżnik, w całym świecie znany. Był w Chinach, Japonii, zna całe Indie, Tybet. Mówi podobno wszystkimi językami Wschodu.

– Przyszedeł? Żałuję, że mnie nie było!

– Nie żałuj, córko, nie żałuj. To był nieudany wieczór. Ostatni poniedziałek przed świętami. Profesor Kowalewski przyszedł – siwiuteńki staruszek. Żona Rosjanka, nie rozumie po polsku. Gorzej, że przyprowadzili drugiego profesora, młodego przyrodnika, Benedykta Dybowskiego. Nic nie

uprzedzili... Profesor Kowalewski rekomendował go jako swego przyjaciela. Co w takiej sytuacji mama mogła zrobić? Bąknęła niewyraźnie, że „les amis de nos amis, sont nos amis”, ale widziałem, że zbladła. Bo ten profesor Dybowski jest pierwszym w Polsce wykładowcą, niektórzy nawet twierdzą, że zwolennikiem, okropnej teorii świeżo splodzonej na Zachodzie przez niejakiego Darwina, ze wszystkich ambon potępionej jako pogańska i wszeteczna. Teoria ta, w miejsce Adama i Ewy, pierwszych rodziców, stawia... zwyczajną małpę! Na szczęście nie przyszła na zebranie przyjaciółka mamy, pani Eleonora Ziemięcka. Wiesz, ta uczona, studiowała kiedyś filozofię, nadzwyczaj nabożna. Podobno na samo wspomnienie Darwina dostaje palpacji i kurczów żołądka. Widziała gdzieś jego fotografię i twierdzi, że wymyślił swą wstrętą teorię, bo sam jest kubek w kubek podobny do małpy. Bogu dzięki, nie przyszła. Ja sam byłem równie stroskany jak mama. Pocieszałem się, że większość towarzystwa nie wie, co ten Dybowski wykląda, że zresztą on sam, zażenowany eleganckim anturazem, siądzie w kącie i nie będzie się mieszał do konwersacji. Ale gdzie tam! On ani myślał pozostawać w cieniu! Wesoły, mowny, stał się ośrodkiem zainteresowania. Jeśli o to chodzi, przewyższył Wacka i Alfa. Nie wymienił na szczęście Darwina, ale podniósł sprawę wyższego wykształcenia kobiet. Opowiedziały się za nim, jak możesz się domyślić, Paulina Kraków i Seweryna Pruszkowa. Prędko odpadły i ucichły, bo profesor żądał dopuszczenia kobiet do medycyny, przyrody, biologii. Wszyscy się oburzyli. Nasze towarzystwo jest, jak wiesz, bardzo postępowe, gotowe przyznać kobietom prawo do nauk filozoficznych, historycznych, studiów muzycznych i literackich – ale pomyśl, przyroda, biologia, medycyna, toż to nie dla kobiet! To okropnie nieprzyzwoite! Dybowski bronił się. Mówił o niezwykłych dyspozycjach naukowych wielu kobiet. Wymienił panią doktorową Januszkiewiczową, żonę okulisty. Podobno trzyma w mieszkaniu akwarium, prócz tego cztery synogarlice i trzy pary szczurów...



– Szczurów?! – krzyknęła Komierowska née Łuszczewska, ze zgrozą.

– Szczurów. Możesz sobie wyobrazić, jak panie zaczęły pisać, perfumowanymi chusteczkami machać, jakby płosząc te wstrętne gryzonie. Dybowski wcale się nie stropił. Oświadczył, że szczury to inteligentne i miłe zwierzątka, gdy je bliżej poznać. Że pani doktorowa Januszkiewiczowa przeprowadza nad nimi z pomocą męża różne badania. Osiąga ciekawe rezultaty. Sam rektor Mianowski interesuje się nimi. Zakrzyczano go, że niech się interesuje, kto chce, nawet szach perski, sułtan turecki, królowa angielska... Towarzystwo tu zebrane nie chce więcej słyszeć o szczurach. Pan generał baron Korf sypał dowcipami na temat żon, które się bawią ze szczurem.

– Co to za baron Korf, papciu?

– Byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy u nas często bywał. Stał garnizonem w Warszawie za czasów paskiewiczowskich i zadomowił się w polskim towarzystwie. Charmant homme... Kiedy Wielki Książę sprowadził z powrotem gwardię w zeszłym roku, powitano w Warszawie generała Korfa jak starego znajomego. My też... Wracam do opowiadania. Mama nie mogła dłużej znieść tej rozmowy i zapytała doktora Chałubińskiego, jak się miewa pan Józef Korzeniowski, pisarz. Podobno wyjechał do Drezna dla przeprowadzenia kuracji? Czy są wiadomości? – Bardzo złe – odpowiedział doktor. Ktoś z boku przesłyszał się. Myślał, że mowa o poecie Apollu Korzeniowskim, zesłanym do odległej Wołogdy. Zaczął o niego pytać. Chałubiński powiedział, że nie tylko Apollo, ale i jego żona, śliczna Ewelina née Bobrowska, co z dobrej woli towarzyszy mężowi, i synek ich, sześciolatek Józio, wszyscy są chorzy. Osłabienie, gnicie dziąseł... Doktor Tytus opiniował, że przyczynę choroby stanowi jednostronne pożywienie. Nic prócz chleba i mrożonego mięsa. Brak warzyw, jaj, sera, owoców, masła, a do surowej rybiej oliwy, która by te braki z powodzeniem zastąpiła, wszyscy troje czują nieprzewyciężoną odrazę. Zaczęto dyskutować,

co by można wygnańcom posyłać. Wyszło, że właściwie nic, bo wszystko przyjdzie zmrożone. Chyba tylko masło i kapustę kwaszoną. Każdy dorzucał swoje zdanie o losie zesłańców. Piękny temat, kiedy w towarzystwie są Rosjanie! Biedna mama wpadła z deszczu pod rynnę. Już lepiej było zostać przy szcurach. Bo, imaginez, ma chère, profesor Kowalewski, choć z wieku przygłuchy, dosłyszał słowo „Syberia” i zabrał głos. Zaczął opowiadać o warunkach na zesłaniu, o swoim pobycie w katordze, o czasach mikołajowskich... Wpadł w zapał. Nic go nie może zatrzymać. W salonie cisza, wszyscy słuchają jak urzeczeni, a ten trąbi (głusi zawsze mówią głośno) na całe mieszkanie rzeczy, ma chère enfant, niedopuszczalne. Na pewno przez okna słyhać. Niechby przechodził tędy rewirowy! Trzeba przyznać, że mówił wspaniale, porywająco. Ale mógł sobie to mówić w Kazaniu, gdzie go nikt nie śmiał zaczepić, nie tu, na froncie warszawskim! Mama przerażona odciągnęła mnie na bok, błaga, żebym sprowadził Jadwisię, bo tylko wejście poetki może zatrzymać starego ramola. Tak się o nim wyraziła, ale to wcale nie ramol, o nie! Jadwisię musiałem bardzo namawiać i prosić. Wreszcie obiecała, że zejdzie. Wróciłem do towarzystwa. Stary jeszcze perorował. Z radością posłyszałem, że Jadwisia schodzi. Jak wiesz, Kaziu, mama ją wyuczyła, że kiedy ma deklamować, rusza się niby w letargu. Przyznaję, że nie bardzo lubię tę manierę, bo po co zdrowa dziewczyna ma udawać lunaticzkę, ale mama tak sobie upodobała. Wyobraź sobie, że tym razem Jadwisia włożyła wprawdzie swoją białą chlamidę, złote sandałki i złotą opaskę na głowę, ale weszła krokiem energicznym, prawie męskim, nic ze zwykłego ślamazarstwa. Stała mocno, rozejrzała się i rzekła, ale jakim tonem! – Nie jestem dziś usposobiona do improwizacji, lecz powiem państwu wiersz, jaki napisałam blisko dwa lata temu, a którego nikt jeszcze nie słytał.

Po czym, nie patrząc w stronę mamy ani moją, wyrecytowała głośno, z przejęciem:

Szczyt naszych cierpień strzelił jako wieża  
Błysk jak dzwonnica sklepieniem skrwawionym  
I cały naród stał się wielkim dzwonem  
Gdzie jedno serce uderza.  
To dzwon pogrzebu, tak, stu lat pogrzebu...  
Naród już w Niebo wysłał gońców, oni  
Przyśpieszą dzieje, gdy powiedzą Niebu  
Że serce polskie znów dzwoni!  
Ten dzwon obudzi w Europie dreszcze  
Nutą ofiary, swą nutą jedyną  
Powie, że Polska nie zginęła jeszcze  
Gdy jeszcze za Polskę giną!

– Och, jak pięknie! – zawołała Kazia ze szczerym zachwytem.

– Pięknie, pięknie... – przyznał ojciec. – Jadwisia zaraz wyszła, ledwo skłoniwszy głowę w pożegnaniu. Co też były za owacje, brawa! Większość obecnych ocierała oczy. Pocziwa sędzina Petrow biła zawzięcie brawo. Profesorowa Kowalewska patrzyła na wszystkich ze zdumieniem, nie wiedziała, o co chodzi. Przyrodnik od szczurów nie mógł ustać na miejscu i krzyczał: – Niech żyje poezja! Niech żyje Deotyma! – Generał Korf powtarzał: – Mais elle est adorable! Adorable! – Mama była bliska spazmów. Trzymała się resztką sił. Kiedy goście wyszli, padła półżywa na łóżko. Wszystko poszło w ruch: synapizmy, krople, sole, okłady zimne, gorące. Po godzinie zajrzałem do niej spytać, jak się miewa. Była spokojniejsza, ale gniewna. Powiedziała, że człowiek winien kierować się rozumem, nie samym uczuciem. Trzeba sobie zdawać sprawę, co wolno, a czego nie wolno. Kto wie, może miała rację. – Przewiduję – mówiła – że za te oklaski, za ten entuzjazm przyjdzie kiedyś słono zapłacić. A Jadwisę muszę ratować. Zabieram ją. – Już miała gotowy plan. To było w poniedziałek, a w czwartek wyjechały. Ledwo zdążyły do Rzymu na wilię.

Teraz, mon enfant, wiesz wszystko, jakbyś wtedy była z nami. Ufam twojej dyskrecji, córeczko. Tych rzeczy nie można nikomu powtarzać.

Kazimiera-Jolanta przytaknęła głową. To zrozumiałe. Niech papcio będzie spokojny. (– Jaki jest miły, kochany, kiedy mamy nie ma – pomyślała mimo woli).

Pożegnali się serdecznie.

– Uważaj na siebie – prosił ojciec. – Ostatno zmizer-  
niałaś.

– Sama nie wiem, co to jest – odparła. – Chciałabym przytyć, a ciągle tracę na wadze.

IWPAX